

WIELKI NASTĘPCA



PIEBIAŃSKIE PRZEZNACZENIE
BŁYSKOTLIWEGO TOWARZYSZA
KIM OZONG UNA

ANNA FIFIELD

SON
WYDAWCA
KSIĄŻEK I FILMÓW

FRAGMENT KSIĄŻKI

Od 2009 roku Kim Dzong Un błyskawicznie piął się w górę zarówno w hierarchii cywilnej, jak i wojskowej, a wydział propagandy i agitacji wziął się do tworzenia wokół niego kultu jednostki.

Mieszkańcy Korei Północnej co rusz słyszeli o „towarzyszu przywódcy”, a „czas historycznej zmiany warty” stał się ulubionym tematem państwowych mediów. No i wreszcie zaczęto pokazywać samego Wielkiego Następcę. Wszędzie pojawiały się plakaty, na których Kim Dzong Un występował jako spadkobierca rodu Pektu i „chluba narodu”.

W oficjalnym dyskursie opisywano go jako „błyskotliwego towarzysza” i „młodego generała”, istną „gwiazdę poranną przyświecającą całemu krajowi”. Każda jednostka Koreańskiej Armii Ludowej otrzymała broszurę zatytułowaną *Materiały do nauki o wspaniałości szacownego towarzysza generała Kim Dzong Una*. Wśród licznych osiągnięć przyszłego dyktatora podawano między innymi to, że w wieku trzech lat z odległości 100 metrów trafił kulą pistoletową w żarówkę. Potrafił też strzelić do celu dziesięć razy w ciągu dziesięciu sekund i ani razu nie chybić. Osiągnąwszy ósmy rok życia, nie tylko umiał prowadzić ciężarówkę, ale też śmiało grzał nią z prędkością 130 kilometrów na godzinę. Ponadto wiedział wszystko, co tylko się dało, o siłach zbrojnych, i to zarówno naziemnych, jak i powietrznych i morskich. Nawet przywykłym do propagandy Koreańczykom trudno było to łyknać.

Jeszcze w 2009 roku zrewidowano konstytucję Korei Południowej, aby wzmocnić władzę najwyższego przywódcy i podkreślić, że zadaniem armii jest obrona „serca rewolucji” – które, rzecz jasna, stanowiła rodzina Kimów. Wielki Następca podobno otrzymał wówczas stanowisko w Komisji Obrony Narodowej. Koreańska Armia Ludowa przestała być znana jako „siły zbrojne Kim Dzong Ila”, a stała się „siłami zbrojnymi Kim Dzong Una”. Dzieciaka, który średnio radził sobie w szkole,

zaczęto wychwalać jako „geniusza wśród geniuszy”. Obietnicę kontynuowania rewolucji, którą złożył generałom, rozprowadzono wśród wojska w postaci ulotek.

Dalej bito też pokłony przed matką przyszłego dyktatora. W państwowej telewizji pojawił się dokument zatytułowany *Matka wielkiej wojskowej Korei*. Ko Yong Hui ukazano w nim jako wierną służebnicę reżimu w okresie żałoby po śmierci Kim Ir Sena w 1994 roku. Do filmu trafiły też nagrania z lat 90., w których towarzyszyła Kim Dzong Ilowi podczas sesji indywidualnego przewodnictwa w centrach wojskowych, przemysłowych i kulturalnych. Materiał ten z pewnością nie był emitowany wcześniej, gdy „pierwsze damy” pozostawały zupełnie niewidoczne.

W jednej scenie można zobaczyć Ko przemawiającą na imprezie z okazji jej 50. urodzin.

– Pewnego razu generał rzekł mi tak: musisz powiedzieć ludziom, jak ciężkie było dla mnie tych minionych siedem lat – wspomina ulubiona połowica wodza, odnosząc się do czasów, kiedy w kraju trwał wielki głód. A potem dalej grucha przymilnie: – Tak, osobiście widziałam, jak trudne były te lata dla niezrównanie wielkiego generała.

Po prawdzie nie wyglądały wcale tak źle. Podczas gdy jego współobywatele konali z niedożywienia, Kim Dzong Il zajął się kawiołem i homarami. Przez dwa lata najgorszego głodu był największym na świecie nabywcą koniaku Hennessy Paradis. W skali roku wydawał na ten drogi trunek prawie milion dolarów.

Zadanie speców od propagandy polegało jednak na tym, aby napisać nową wersję historii, taką, w której mały książę figurowałby jako prawowity potomek Umiłowanego Przywódcy. Stąd film dokumentalny. Przesłanie brzmiało jasno: Ko Yong Hui to nowa „wielka matka” narodu, godna następczyni czcigodnych rodziców Kim Ir Sena i Kim Dzong Ila. To, że jej syn, w którego żyłach płynęła najczystsza krew rodu Pektu, zostanie nowym przywódcą Korei Północnej, było nieuniknione.

Podczas obowiązkowych cotygodniowych sesji ideologicznych ludziom z całego kraju tłuczono do głowy, jak niezwykle utalentowany jest ów młody geniusz. Powtarzano im bajki o dzieciaku, który mając trzy latka, strzelał z pistoletu, a w wieku, w którym inne maluchy uczą się abecadła, jeździł konno i samochodem.

– Nie sposób było w to wszystko wierzyć. Śmiałyśmy się z tych historyjek. Małe dzieci może je kupowały, ale nie dorośli – powiedział mi pan Kang, handlarz narkotyków. – Ale jeśli ktoś zakwestionowałby to, co usłyszał, zostałby zabity.

Niektóre wysiłki propagandystów przekraczały granice absurdu nawet jak na standardy państwa totalitarnego. Według jednej z oficjalnych biografii – zatytułowanej *Dzieciństwo umiłowanego i powszechnie szanowanego wodza Kim Dzong Una* – Wielki Następca miał słuch absolutny, w wieku sześciu lat ujeżdżał nawet najdziksze konie, a w wieku dziewięciu dwukrotnie pokonał mistrza Europy w wyścigach motorowodnych. Jeździł też samochodem, osiągając prędkość 200 kilometrów na godzinę. Wszystko to brzmiało tak nieprawdopodobnie, że książkę wycofano, ulegając głosom twierdzącym, iż „wypacza i wyolbrzymia” ona najwcześniejsze lata życia przywódcy. Później ukazało się drugie, poprawione wydanie.

Reżim miał jednak wkrótce popełnić dużo poważniejszy błąd – błąd, od którego zatrzęsły się same podstawy systemu.

W niedzielę 30 listopada 2009 roku władze niespodziewanie ogłosiły dewaluację północnokoreańskiego wona. Wieść rozniosła się w dół drabiny partyjnej hierarchii. Pierwsi o sprawie usłyszeli urzędnicy w Pjongjangu, ostatni – mieszkańcy prowincji.

Północnokoreańskie banknoty zachomikowane na dnie szaf w całym kraju z dnia na dzień straciły niemal całą wartość. Obywatelom pozwolono wymienić 100 tysięcy starych wonów – które w tym czasie stanowiły równowartość jakichś 30 dolarów albo jednego pięćdziesięciokilogramowego worka ryżu – na nowe. Dano im na to tydzień, później

zamierzano utracić pieniądзом dwa zera na końcu, tak że 100 starych wonów stałoby się warte jednego nowego.

Całe państwo pogrążyło się w chaosie i panice. Elity z Pjongjangu, które dowiedziały się o wszystkim jako pierwsze, zaczęły masowo wymieniać gotówkę na obce waluty lub towary – obojętnie jakie: jedzenie, ubrania, wszystko jedno. Pozostali usłyszeli o zmianie za późno. Rodziny, które przez lata harowały, aby stać się częścią powoli powstającej klasy średniej, straciły praktycznie całe oszczędności.

Przed dewaluacją pan Hong był jednym z wielu, którzy obrócili swe żałośnie płatne państwowe posady w intratny biznes. Oficjalnie pracował jako strażnik graniczny w pobliżu miasta Hyesan, na boku zaś handlował walutami. Dzięki znajomościom po obu stronach granicy mógł potajemnie dostarczać swym rodakom z Korei Północnej zagraniczne pieniądze.

Ten nielegalny proceder zawsze cieszył się – i nadal cieszy – niemałą popularnością, jako że ci, którym udało się uciec do Korei Południowej bądź Chin pragną wspierać finansowo pozostawionych w kraju bliskich. Dzięki swej przedsiębiorczości pan Hong nieźle się ustawił. Zdołał zaoszczędzić 30 tysięcy wonów, niebagatelną sumkę w regionie, w którym za dziesięć tysięcy można było kupić wcale niezły dom. Stać go było na to, aby codziennie kupować dla swej żony i chodzącej do podstawówki córeczki mięso oraz ryby. Jego rodzina mogła się cieszyć wszelkimi wygodami dobrobytu, który wiele lat wcześniej obiecał swym rodakom Kim Ir Sen – choć, gwoli ścisłości, Wielki Wódz wyobrażał sobie raczej, że źródłem tych wygod będzie socjalistyczny raj, a nie szmugiel obcych walut przez graniczną rzekę.

Po reformie walutowej oszczędności pana Honga straciły nieomal całą wartość, a jego rodzina mogła zapomnieć o wygodnym stylu życia, do którego przywykła. Podobny los spotkał niezliczone rzesze innych potajemnych kapitalistów. Od tego momentu zapatrywanie Honga na przywódców kraju uległo diametralnej zmianie. Podobnie jak wielu innych Koreańczyków, po raz pierwszy uświadomił sobie, że to system

oszukuje jego. Chaos, jaki dewaluacja spowodowała w rodzinnym mieście przedsiębiorczego strażnika granicznego, stał się dla niego kroplą, która przepełniła czarę.

– Wcześniej myślałem, że Kim Dzong Ille naprawdę przejmuje się losem ludu, ale kiedy reforma walutowa pozbawiła mnie oszczędności, zrozumiałem, że to nieprawda – wyznał, gdy spotkałam się z nim w jednej z zapuszczonych podmiejskich sypialni Seulu, gdzie mieszka, odkąd w 2015 roku uciekł z Korei Północnej.

W miarę jak spadała wartość północnokoreańskiego wona na czarnym rynku, reżim zaostrzał przepisy. Zakazał używania obcych walut i wprowadził surowe ograniczenia odnośnie do tego, kiedy mogą być otwarte sklepy i jakie produkty wolno w nich sprzedawać.

Kroki te okazały się niewystarczające. Inflacja wystrzeliła w górę. Niedobory żywności stały się jeszcze bardziej dotkliwe. W całym kraju przybawało ofiar śmiertelnych. U niektórych szok związany z utratą całego dobytku powodował atak serca, innych popychał do samobójstwa. Władze, obawiając się zaburzeń w gospodarce, a nawet zamieszek, podniosły sumę, którą można było wymienić na nowe wony, najpierw do 300 tysięcy, następnie do 500 tysięcy. W części zakładów pracy podniesiono pensje lub zaoferowano pracownikom przywrócenie dawnych stawek.

Wydaje się, że celem dewaluacji miało być uderzenie w prywatne rynki, które zakorzeniły się w kraju wraz ze wzrostem gospodarczego znaczenia prywatnych sprzedawców po wielkim głodzie z lat 90. Ruch rządu pozbawił tych ludzi oszczędności – może z wyjątkiem najgrubszych ryb trzymających pieniądze w obcych walutach.

Niektóre doniesienia z Korei Północnej sugerowały, że za projektem – przynajmniej nominalnie – stał Kim Dzong Un, co miałoby stanowić część wysiłków służących zasygnalizowaniu jego obecności na scenie politycznej. Jeśli nawet tak było, Wielki Następca nie poniósł za fiasco żadnej odpowiedzialności, a przynajmniej nie publicznie. Kozłem ofiarnym stał się Pak Nam Gi, siedemdziesięciosiedmioletni dyrektor wydziału planowania i finansów w Partii Pracy. W styczniu 2010 roku

Paka odwołano ze stanowiska. W marcu oskarżono go o „świadome wyniszczenie krajowej gospodarki”. Został stracony przez rozstrzelanie w Pjongjangu.

Ostatecznie ktoś musiał zapłacić za dewaluacyjną wtopę.

Reżim nie tylko robił, co mógł, aby odsunąć winę od przyszłego wodza, ale i starał się go przedstawić jako obrońcę uciśnionych. Pod koniec 2009 roku KC przyznał każdemu gospodarstwu domowemu zapomogę w wysokości 500 nowych wonów. Obywatelom mówiono podobno, że to „pomoc pieniężna od generała Kima”.

Pomimo prób wkupienia się w łaski ludu nastroje trudno było uznać za dogodne do przeprowadzenia sukcesji. Biorąc jednak pod uwagę szybko pogarszający się stan zdrowia Kim Dzong Ila, władze nie miały wyboru.

* * *

Państwo znalazło się w stanie gospodarczego chaosu, w narodzie powoli zaczynało wrzeć, Kim Dzong Unowi nie pozostawało zatem nic innego, jak pokazać muskuły. Każdy tyran wie, że nic nie odwraca uwagi od kłopotów na własnym podwórku lepiej niż brawurowy sukces militarny.

Uważa się, że mały książę osobiście opracował plan zatopienia południowokoreańskiej korwety Cheonan. Wążący 1200 ton okręt został storpedowany pod koniec marca 2010 roku w czasie rutynowego patrolu wzdłuż morskiej granicy między Północą a Południem na Morzu Żółtym, gdzie wcześniej dochodziło już do wielu drobnych starć pomiędzy marynarkami obu krajów. Podczas ataku zginęło 46 marynarzy. Był to jeden z najkrwawszych tego rodzaju incydentów od zakończenia wojny koreańskiej w 1953 roku.

Międzynarodowe dochodzenie przyniosło liczne dowody przemawiające za tym, że w korwetę uderzyła torpeda wystrzelona z północnokoreańskiej łodzi podwodnej. Analitycy z Korei Południowej podejrzewali, że to Wielki Następca zlecił atak, aby wzmocnić swój autorytet jako

dowódcy. Mógł się co prawda pochwalić dyplomem z Uniwersytetu Wojskowego im. Kim Ir Sena, ale nie posiadał absolutnie żadnego doświadczenia w prawdziwych działaniach wojennych. A pilnie go potrzebował, jeśli chciał stanąć na czele kraju, który pod władzą jego ojca przyjął politykę „armia na pierwszym miejscu”.

Kolejny niezwykle ważny rytuał przejścia dokonał się w sierpniu tego samego roku, gdy Kim Dzong Un dołączył do Umiłowanego Przywódcy w podróży do Chin, podczas której miał najwyraźniej zostać przedstawiony najdawniejszym patronom reżimu. Krążą plotki, że w czasie wizyty Kimowie objechali północnowschodnią część bratniego kraju, czyli dawne rewiry pewnego antyjapońskiego bojownika nazwiskiem Kim Ir Sen.

Po oficjalnym przedstawieniu towarzyszym z Pekinu, zatopieniu Cheonana i roku agresywnego propagowania rodowodu wyprowadzanego od góry Pektu wyglądało na to, że Wielki Następca zyskał już wszystkie niezbędne kwalifikacje do tego, aby otrzymać awans. 27 września 2010 roku został mianowany czterogwiazdkowym generałem Koreańskiej Armii Ludowej, która – jak to ujął jego ojciec, gdy publicznie ogłaszał przyznanie synowi najwyższej rangi wojskowej – „ukazuje się dziś światu w całej swej potędze jako armia góry Pektu”.

* * *

Problem polegał na tym, że młodego przywódcę trudno było traktować poważnie. Rychło miał się stać bohaterem niezliczonych dowcipów.

Przed wszystkim wyglądał jak postać rodem z kreskówki. Miał osobliwą fryzurę, w oczach zyskiwał na objętości, a jego ciuchy stanowiły istny relikwiarz demoludów. Drukowane w państwowej prasie zdjęcia Pracowitego Dyktatora wyglądały tak, że karykaturzystom nie zostawało nic innego, jak iść na bezrobocie. Oto przywódca wyskakuje z czołgu w czapce czołgisty otaczającej jego krągłą, uśmiechniętą buźkę. Tu znów radośnie nadzoruje pracę w fabryce wazeliny. Co prawda była to wazelina przemysłowa – do silników – ale naprawdę trudno byłoby znaleźć

zakład przemysłowy, który stanowiłby lepsze tło dla niewyszukanych żartów.

Jakby tego było mało, Kim Dzong Un z upodobaniem nadawał sobie wymyślne tytuły. Część pochodziła ze standardowego komunistycznego repertuaru, jak choćby pierwszy sekretarz Partii Pracy. (Ojca pośmiertnie uczynił wiecznym sekretarzem generalnym). Wśród tych niektóre wydawały się rażąco niezasłużone, na przykład przewodniczący Centralnej Komisji Wojskowej KC PPK albo pierwszy przewodniczący Komisji Obrony Narodowej KRLD.

Inne stanowiły czyste hiperbole, jak – dajmy na to – Niepokonany Zwycięski Generał. Kim mianował się obrońcą Sprawiedliwości, Najlepszym Wcieleniem Miłosierdzia, a także Stanowczym, Choć Wielkodusznym Przywódcą. No i oczywiście nie można zapomnieć o całej plejadzie tytułów wykorzystujących motyw solarne: Czołowy Promień Słońca, Słońce Rewolucji, Słońce Socjalizmu, Jasne Słońce Dwudziestego Pierwszego Wieku czy wreszcie Słońce Ludzkości. Żadne miano nie brzmiało zbyt górnolotnie dla świeżo upieczonego władcy.

Coraz bardziej fantastyczne stawały się też przekazywane przez media historie. Dla przykładu Koreańska Centralna Agencja Prasowa pewnego dnia obwieściła, że miejscowi naukowcy odkryli „leże jednorożca”. Naturalnie wieść zaraz rozniosła się po internecie – ludzie z całego świata zaśmiewali się z bajki, która brzmiała dziwacznie nawet jak na północnokoreańskie standardy.

Później co prawda okazało się, że do tłumaczenia wkradł się chichlik. Doniesienia w istocie dotyczyły nie jednorożca, tylko mitycznego stworzenia ze starożytnego królestwa Korei – czegoś w rodzaju potwora z Loch Ness. To jednak nie umniejszyło popularności bardziej absurdalnej wersji historii.

Przy dwóch okazjach państwowa prasa informowała, jakoby Wielki Następca wspiął się przez „grubą pokrywę śniegu” na szczyt Pektu, mitycznej góry, której miał zawdzięczać swe boskie prawo do sprawowania władzy. Jako dowód gazety opublikowały zdjęcie otyłego

przywódcy stojącego na wysokości prawie 2600 metrów w czarnych lakierkach i wełnianym płaszczu nadającym się co najwyżej na paradę w Pjongjangu. Ewidentnie wódz w swej wspaniałości nie potrzebował obuwia ani sprzętu do chodzenia po górach.

Potęga drzemiącego pod śniegową czapą wulkanu, ma się rozumieć, niezwykle poruszyła Kim Dzong Una. „Rodong Sinmun” w typowym dla siebie stylu odnotował, że „majestat góry Pektu” odbijał się w oczach „wielkiej, niezwykle uzdolnionej osobistości” postrzegającej skalisty masyw jako uosobienie „silnego socjalistycznego narodu, który pełen wigoru dynamicznie prze naprzód, niezrażony wstrętnymi wiatrami szalejącymi po obliczu Ziemi”.

Anegdoty o dyktatorze wkrótce trwale zakorzeniły się w zbiorowej wyobraźni świata. W Chinach, pomimo spóźnionej interwencji cenzorów, zaraz nadano mu przydomek „Gruby Kim Trzeci”.

Niewiele później pojawiły się wyssane z palca zarzuty, jakoby Wielki Następca kazał stracić swoją dziewczynę, liderkę najstynniejszego koreańskiego girlsbandu, bo wraz z koleżankami kręciła lesbijskie filmy porno. Później okazało się, że piosenkarka nie tylko żyje, ale też została mianowana główną przedstawicielką władz w okresie odwilży kulturowej.

Krażyły również plotki, że Kim Dzong Un wydał 3,5 miliona dolarów na seksowną bieliznę dla swego „korpusu rozkoszy”, choć nie istniały żadne dowody, że – biorąc przykład z ojca – ufundował sobie harem. A gdy w 2014 roku na sześć tygodni zniknął z życia publicznego, potem zaś pokazał się wsparty o laskę, komentowano, że w czasie pobytu w Szwajcarii tak się rozsmakował w ementalerze, że jego kostki nie wytrzymały wciąż rosnącej wagi. Bardziej prawdopodobne wydawało się, że cierpi na dnę moczanową, rodzaj ostrego zapalenia stawów zwanego „chorobą królów”, gdyż jego przyczynę często stanowi rozpustny styl życia. Prawdziwe przyczyny nieobecności młodego przywódcy pozostają jednak nieznane.

Nawet z reguły poważne magazyny takie jak „The New Yorker” czy „The Economist” nie mogły się powstrzymać przed uszczypliwością: ten

pierwszy na okładce ukazał koreańskiego dyktatora jako dziecko bawiące się zabawkowymi raketami, drugi przekształcił osobliwą fryzurę młodego Kima w grzyb atomowy.

Wielki Następca w istocie miał średnio udany start na stanowisku wodza. Pierwsza próba samodzielnego prężenia militarnych muskułów skończyła się dla niego haniebną porażką, co oczywiście stanowiło wodę na młyn dla tych, którzy uważali, że nie utrzyma się przy władzy.

Rzecz się miała następująco. Kim Dzong Un stał na czele Korei Północnej dopiero od czterech miesięcy, kiedy reżim zaczął przygotowania do obchodów setnej rocznicy urodzin wiecznego prezydenta Kim Ir Sena, wypadającej 15 kwietnia 2012 roku. Choć od śmierci Wielkiego Wodza minęło 18 lat, jego urodziny nadal świętowano jako Dzień Słońca, najświętszy dzień w północnokoreańskim kalendarzu. Aby go uczcić, organizowano parady wojskowe, pokazy sztucznych ogni, adoracje pomników i inne tego rodzaju rozrywki mające przypominać o nieprzemijającej wspaniałości zmarłego.

Tym razem okazja była jednak szczególna – od narodzin założyciela dynastii rządzącej mijał w końcu okrągły wiek. Młody przywódca dostrzegł w tym okazję do wzmocnienia mitu rodu Pektu i potwierdzenia swego boskiego prawa do władzy. Zaplanował dwa tygodnie ekstrawaganckich igrzysk.

I zamierzał zacząć z hukiem.

13 kwietnia Koreański Komitet Technologii Kosmicznych wystrzelił raketę niosącą – jak utrzymywał – nowego satelitę obserwacji Ziemi ochrzczonego Gwiazda Przewodnia-3. Była to dobrze wróżąca nazwa, gdyż – o czym wiedział każdy mieszkaniec Korei Północnej – gwiazda przewodnia pojawiła się nad górą Pektu w dniu, w którym przyszedł na świat Kim Dzong Il.

Północnokoreańska agencja kosmiczna o planowanym starcie poinformowała miesiąc wcześniej, w marcu. Podpisy pod tak zwanym porozumieniem dnia przestępnego – zawartym, jak sama nazwa wskazuje, 29 lutego – ledwo zdążyły zaschnąć. W myśl układu władze Korei

Północnej zgodziły się zaprzestać wystrzeliwania pocisków balistycznych i przeprowadzania prób nuklearnych w zamian za pomoc żywnościową.

Stany Zjednoczone i inne kraje, postrzegając satelitę jako słabą przykrywkę dla dalekosiężnej głowicy bojowej, ostrzegły reżim, żeby odwołał start. Lecz państwowe media upierały się, że rząd w Pjongjangu po prostu korzysta ze swego prawa do pokojowego wykorzystania przestrzeni kosmicznej. Na pole startowe zwieziono dziennikarzy z całego świata. Niewiele po świcie rakieta uniosła się w powietrze. Leciąca przez jakieś 90 sekund, po czym runęła do morza pomiędzy Półwyspem Koreańskim a Japonią.

Władze nie miały jak przemilczeć fiaska, biorąc pod uwagę, ile szumu narobiły wokół sprawy. Poza tym wszystko zostało nagrane przez międzynarodowe media. Nadworni skrybowie Kimów ograniczyli się do lakonicznego stwierdzenia, że satelita „nie zdołał osiągnąć planowanej orbity”, a przyczynę niepowodzenia badają naukowcy.

Nawet tak skromne oświadczenie stanowiło pewien przełom. Kim Dzong Il zawsze pozował na nieomylnego i doskonałego. Tymczasem Kim Dzong Un publicznie przyznał, że coś się nie udało. Był to wczesny znak, że choć pod niektórymi względami planuje iść w ślady ojca, pewne rzeczy będzie załatwiał po swojemu. Z czasem miał się wykazać między innymi większą otwartością w kwestii tego, co i jak należy w kraju naprawić.

Zresztą młody przywódca nie musiał długo czekać na pocieszenie po pierwszej kompromitacji. Rozwiązanie problemu z rakieta nie zajęło naukowcom wiele czasu. Pod koniec roku zdołali umieścić nowego satelitę na orbicie okołoziemskiej – niezbyt stabilnego, ale zawsze.

Wielki Następca nie zamierzał pozwolić, aby jedno potknięcie zdecydowało o jego przyszłości. Dwa dni po nieudanym starcie rakiety wrócił na górujący nad placem Kim Ir Sena balkon Wielkiej Biblioteki Ludowej w Pjongjangu. Był to ten sam balkon, z którego zaledwie 18 miesięcy wcześniej obserwował wraz z ojcem ogromną paradę wojskową i został oficjalnie przedstawiony światu.

Teraz, samotnie stanąwszy przed ludem, wygłosił mowę. W dużym stopniu sprowadzała się ona do typowych dla Korei Północnej pogroźek, że jej „potężna armia” odniesie „ostateczne zwycięstwo” nad imperialistami, ale sam fakt, że wódz przemówił do narodu, stanowił nie lada wydarzenie. Kim Dzong Il w ciągu swego siedemnastoletniego panowania tylko raz wystąpił publicznie, a i wówczas wypowiedział raptem jedno zdanie. Miało to miejsce w czasie parady w 1992 roku.

– Chwała bohaterskim żołnierzom Koreańskiej Armii Ludowej! – rzekł wtedy Umiłowany Przywódca.

A teraz nagle jego młody syn, po zaledwie kilku miesiącach rządów, spędził przed baterią siedmiu mikrofonów aż 20 minut. W dodatku nie wydawał się ani trochę spięty. Przeciwnie, żartował i uśmiechał się do najbliższych doradców, którzy towarzyszyli mu na balkonie.

Nowy przywódca szybko pokazał, że bardzo różni się od ojca. A mimo to pozostawał swojski. Przyglądający mu się Koreańczycy nie mogli uniknąć skojarzeń z Kim Ir Senem, ich wiecznym prezydentem. Kim Dzong Un podobnie jak dziadek przemawiał lekko zachrypniętym głosem, ubrany zaś był w mundurek Mao z czerwoną przypinką w klapie – strój, który stał się znakiem rozpoznawalnym jego wielkiego przodka.

Świeżo upieczony dyktator w otoczeniu wystrojonych w paradne mundury generałów i innych wysokich rangą urzędników przyglądał się dziesiątkom tysięcy maszerujących przez plac żołnierzy. Ponad szeregami wyrastały ogromne portrety zmarłych wodzów. Młodzieniec złożył hołd swym poprzednikom, a z niezliczonych gardel krzykiem wyrwało się jego imię. Wszystko to należało teraz do niego.

* * *

Kim Dzong Un może i stanowi idealną pożywkę dla kabareciarzy i karykaturzystów, lecz nie szczęściu czy przypadkowi zawdzięcza to, że zdołał zachować władzę. Od pierwszych dni rządów wszystko, co czynił,

podporządkowane było jednemu jedyemu celowi: pozostaniu – jak to ujmują propagandyści – Zawsze Zwycięskim, Niezlomnym Wodzem Korei Północnej.

Zewnętrzni obserwatorzy mieli skłonność do umniejszania pozycji Wielkiego Następcy. Wielu utrzymywało, że jest on tylko pozorantem, a za sznurki tak naprawdę pociągają członkowie starej gwardii.

Często wskazywano na to, że w pierwszych miesiącach i latach panowania Kim Dzong Un faktycznie w pewnym stopniu polegał na przewodnictwie innych. Jego najważniejszą doradczynią była ciotka Kim Kyong Hui, która za życia Kim Dzong Ila stanowiła jeden z filarów reżimu. Dołożyła ona wszelkich starań, aby bratanek otrzymał wiedzę i wsparcie niezbędne do przejścia steru państwa. Zadbana też, aby w rodzimym skarbcu nie zabrakło pieniędzy.

Jej mąż, Jang Song Thaek – którego wcześniej widzieliśmy przy karawanie wiozącym ciało Umiłowanego Przywódcy – stał się „wieżą kontrolną” koordynującą codzienne funkcjonowanie władz. To on decydował, które informacje dotrą do Kim Dzong Una i z jakim priorytetem. Nieraz przekształcając je stosownie do własnych potrzeb.

Triumwirat najbliższych doradców zamykał Choe Ryong Hae, który w tamtym czasie pełnił funkcję dyrektora Generalnego Biura Politycznego Koreańskiej Armii Ludowej, organu odpowiedzialnego za edukację polityczną i ideologiczną wojska. Było to niezwykle istotne stanowisko, które zapewniało mu duże wpływy zarówno w kręgach wojskowych, jak i partyjnych.

Wielka trójca może i pomagała młodemu przywódcy stawiać pierwsze kroki, ale północnokoreański system polityczny opiera się na osobie naczelnego wodza. To Kim Dzong Un dzierżył władzę absolutną. A los trójki najbliższych doradców wkrótce miał wszystkim o tym przypomnieć.

W miarę umacniania kontroli nad państwem i elitami Wielki Następca zaczął systematycznie zastrzacać politykę izolacjonizmu, rezygnując nawet z pielgrzymek do Moskwy i Pekinu, które jego ojciec i dziadek

odbywali regularnie. Starał się też uniemożliwić opuszczenie kraju komukolwiek innemu. Bezwzględnie wziął się do uszczelniania granic, aby zapobiec ewentualnemu exodusowi ludności i upewnić się, że żelazny uścisk władzy nie poluźni się ani na jotę. Zablokował przepływ informacji, wykorzystując zaawansowane technologie informatyczne, aby złapać każdego, kto ośmielił się oglądać południowokoreańskie seriale czy słuchać chińskiego popu.

Zaaplikował społeczeństwu nowy zastrzyk terroru, stwarzając poczucie bezustannego zagrożenia. Na lud spłynęła świeża fala represji, zaś partyjne tuzy, którym udało się zyskać zbyt wielkie wpływy, stanęły przed groźbą wygnania do najodleglejszych zakątków kraju – o ile wódz był akurat w dobrym humorze.

Kim potrzebował wokół siebie kohorty popleczników, których los byłby nierozzerwalnie uzależniony od jego sukcesu, zaczął więc się zastanawiać, kogo zatrzymać, a kogo wyeliminować. W brutalny sposób pozbył się potencjalnych rywali do tronu w osobach wuja i przyrodniego brata, aby jasno dać do zrozumienia, że w swej ambicji nie cofnie się przed niczym.

Jednocześnie zwiększył swobodę gospodarczą. Dla większości ludzi targi o cechach typowo kapitalistycznych stały się ważną częścią codzienności, co pozwoliło dać im poczucie rosnącego standardu życia.

Zabezpieczywszy sobie w ten sposób tyły, młody przywódca mógł poświęcić wszystkie środki reżimu na rozwój broni rakietowej i programu nuklearnego. Postępy i osiągnięcia w obu tych przedsięwzięciach zachodziły z tak oszałamiającą prędkością, że śmiertelny wróg Korei Północnej, Stany Zjednoczone, wkrótce musiał uznać zagrożenie za jak najbardziej realne.

Nawet absurdalny wygląd stanowił część planu Wielkiego Następcy.

Podczas gdy inni dyktatorzy próbowali ukryć fakt, że się starzeją, a w związku z tym mogą być śmiertelni – jak choćby Saddam Husajn czy Muammar Kaddafi, którzy uparcie farbowali włosy – Kim Dzong Un postąpił dokładnie na odwrót. Zrobił z siebie wcielenie swego dziadka.

Nosił fryzurę jakby żywcem przeniesioną z lat 40. w Związku Radzieckim, a do tego kulał. Przemawiając, naśladował mrukliwy głos Kim Ir Sena, włącznie z chrypą nałogowego palacza. Poza tym, co najbardziej rzucało się w oczy, pomiędzy kolejnymi wystąpieniami publicznymi coraz bardziej przybierał na wadze.

Latem, na wzór swego wielkiego przodka, zakładał białe koszule z krótkim rękawem w stylu wczesnych demoludów. Zimą przywdziewał olbrzymie futrzane czapy. Nawet okulary wybierał staromodne, kwadratowe. Cały jego *image* był wzorowany na Kim Ir Senie, aby kojarzył się Koreańczykom ze starymi dobrymi czasami. I to działało.

Kiedy Hyon po raz pierwszy ujrzał Wielkiego Następcę – z pokaznym brzuchem opiętym mundurkiem Mao i dziwacznie podgoloną głową – momentalnie przypomniały mu się lekcje historii i rodzinne opowieści o tym, jak to się w kraju powodziło za starego generała.

– Pomyślałem o Kim Ir Senie i czasach, kiedy w Korei Północnej żyło się lepiej. Sądzę, że wielu ludzi reagowało w ten sposób – wyznał były licealista z Hyesan, a następnie wyjaśnił: – Podobnie jak Koreańczycy z Południa z nostalgią wspominają Parka Chung-hee, Koreańczycy z Północy z nostalgią wspominają Kim Ir Sena, bo za jego czasów na Północy było lepiej niż na Południu.

Kim Dzong Un nie ograniczał się jednak do naśladowania wyglądu Wielkiego Wodza. Kim Ir Sen miał niezwykle silną osobowość i wykorzystał ją do stworzenia reżimu, w którym wszystko kręciło się wokół niego. Kim Dzong Il o tego rodzaju charyzmie mógł co najwyżej pomarzyć. Był oschły i wycofany. Kontakty z innymi ludźmi wzbudzały w nim ewidentną niechęć.

Wielki Następcą zdecydowanie wdał się w dziadka. Wydawało się, że czerpie przyjemność z uprawiania polityki detalicznej, ze spotykania się z „wyborcami”. Rzecz jasna wcale nie potrzebował ich głosów – przywódca Korei Północnej zawsze dostaje się do Najwyższego Zgromadzenia Ludowego ze stuprocentowym poparciem i przy stuprocentowej frekwencji – pragnął jednak entuzjazmu. Aby podtrzymać mit ukochanego

władcy, bez przerwy robił sobie zdjęcia w otoczeniu rozanielonych poddanych.

Zawsze pilnował, by w prasie i telewizji pokazywano go jako człowieka z ludu. Gdzie się nie pojawił – w szkole, sierocińcu czy szpitalu – roztałcał aurę przystępności, uśmiechał się szeroko i ścisnął wszystkich, od dzieci po starców. Gdy udzielał indywidualnego przewodnictwa w gospodarstwach rolnych, głaskał po głowie małe koziołki.

W państwowych mediach zaroilo się od wywiadów z rzekomo losowo wybranymi obywatelami dzielącymi się swoimi przemyśleniami na temat nowego przywódcy. Wszędzie, od zakładów przetwórstwa spożywczego po wielkie fabryki środków farmaceutycznych, ludzie deklarowali poparcie dla wodza, którego opisywano jako „wiecznie niezachwianą mentalną ostoję koreańskiego narodu”.

Pewna kobieta nie potrafiła wręcz powstrzymać wybuchu uwielbienia.

– Wierzę, że jest panem naszego przeznaczenia – wyznała przed kamerą. – Dopóki mamy go przy sobie, nie musimy niczego się obawiać.

Reżimowe media oceniały debiut najmłodszego Kima z niesłabnącym entuzjazmem, a w sercach wielu zwykłych ludzi zakiełkowało ziarno nadziei. Aby uczcić zmianę za sterem państwowej nawy, rodziny w całym kraju otrzymały kartki na niewyobrażalnie dekadentkie produkty, takie jak mleko czy ryby. Miał to być dar Wielkiego Następcy dla ludu. Optymizm wzrastał.

Min-ah liczyła sobie zaledwie kilka lat mniej niż nowy przywódca, a jej życie w 2012 roku wyglądało całkiem znośnie. Jak na standardy północnokoreańskiej prowincji była względnie zamożna. Mieszkała w Hoeryong, prężnym ośrodku handlowym przy granicy z Chinami. Jej mąż pracował jako kierowca ciężarówki, co pozwalało mu sporo dorabiać na szmuglu. Mieli dom z niedużym podwórkiem i małe dziecko. A gdy ich córeczka poszła do przedszkola, stać ich było na przekupienie opiekunów, żeby dobrze ją traktowali. Mówiąc krótko, stanowili typowy przykład przedstawicieli formującej się klasy średniej.

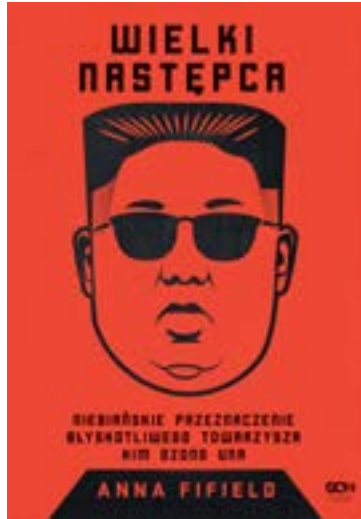
Mimo to Min-ah chciała wierzyć, że objęcie władzy przez Kim Dzong Una – millenialsa takiego jak ona – zwiastuje początek nowej ery. Ery lepszych relacji z Chinami – które raczej tolerowały, niż szczególnie hołubiły Koreę Północną – i resztą świata. Ery prosperity, w której Koreańscy z Północy mogliby cieszyć się bogactwami i swobodami, jakie znali z oglądanych potajemnie ciemną nocą południowokoreańskich seriali.

Niestety na dłuższą metę nic się nie poprawiło. Właściwie to pod pewnymi względami życie stało się nawet cięższe. Granicę ufortyfikowano, co znacznie utrudniło szmuglowanie dóbr na drugą stronę rzeki. W rezultacie ceny poszły w górę. Cena proszku do prania podwoiła się, a potem potroiła.

Ziarnko nadziei obumarło, a jego miejsce zajęło rozczarowanie. Mąż i najbliżsi przyjaciele Min-ah zaczęli podkpiwać ze swego nowego półboga. Jeśli Kim Dzong Un może być wodzem, to i ja mogę – żartowali. W państwie policyjnym, jakim jest Korea Północna, takie gadanie to już działalność wywrotowa. Jeśli ktoś doniósłby na nich władzom, czekały ich poważne konsekwencje: zsyłka do obozu koncentracyjnego dla więźniów politycznych.

– Wszyscy wiedzieli, że Kim Dzong Il i Kim Dzong Un byli kłamcami. Zdawaliśmy sobie sprawę, że w wiadomościach słyszemy same kłamstwa. Ale nic nie mogliśmy powiedzieć. Tam ciągle ktoś słucha – opowiadała mi Min-ah kilka lat później, po tym jak wraz z mężem i dwiema córkami uciekła do Korei Południowej. – Jeśli ktoś się upije i powie, że Kim Dzong Un to sukinsyn, to już nigdy go nie zobaczysz.

Wielki Następca zdołał przejąć władzę po ojcu. Teraz musiał jeszcze udowodnić, że jest w stanie cokolwiek wykrzesać z sypiącej się kleptokracji, którą odziedziczył.



**Witaj w gronie pierwszych Czytelników!
Dzięki temu, że zapisałeś się do naszego newslettera,
jako pierwszy otrzymałeś fragment książki!**

Do premiery coraz bliżej!

Jeśli Ci się spodobało, książkę możesz zamówić na:

[Empik.com](https://empik.com)

[SQNStore.pl](https://sqnstore.pl)



WYDAWNICTWO
SINE QUA NON